

Józef Mackiewicz, *Droga donikąd* (fragmenty)

Frag. 1

W poczekalni dworca panował ścisk. Nikogo nie puszczano na peron. (...)

- Panie! - zawołała jakaś kobieta. - Niech pan zlitui się, mnie dzieci czekają w domu...
- Nie ma tu żadnych panów - odburknął. Kobieta cofnęła się rozglądając bezradnie.
- Jak do niego, cholera, mówić? - rzuciła szeptem pytanie.
- Wiadomo, jak - podpowiedziała inna. - "Towarzyszu" trzeba mówić.

Frag. 2

W listopadzie 1939 jeździł po wsiach specjalny agitator-politruk, który wygłaszał odczyty. Słuchali go wszyscy milcząc. Po odczycie politruk odpowiadał na zadawane pytania. Zebrani interesowali się głównie zagadnieniami natury materialnej. Pytali, czy jest w Sowietach cukier, bo jakoś zabrakło? Albo materiały na ubrania? O cokolwiek jednak zapytali, na wszystko agitator odpowiadał, że tego jest pod dostatkiem, że tylko trzeba poczekać, a podwiozą wszystkiego! Wtedy jego coś skusiło, nieczysta siła chyba, zażartować: wstał z ostatniej ławki, na której siedział, i zapytał: "A nędzy u was dużo?". Użył polskiego słowa "nędza", i agitator nie zrozumiał znaczenia. Na wszelki jednak wypadek odpowiedział, że mnóstwo jest, że ją podwiożą.... Wtedy wszyscy zebrani wybuchnęli głośnym śmiechem - Opowiadanie przerwał Romka:

- Ale przynaj się, zdrowo musieć przedtem samogonu kierznął, żeby taka pytania stawiać?
- A wiesz, co - odparł opowiadający - że trzeźwy był. Nawet żeby choć szkalik jaki, ale nic nie pił od rana. Obecni z niedowierzaniem pokiwali głowami.
- No, opowiadaj dalej - przynaglił Tadeusz.

Więc dalej było tak: jak wybuchł śmiech, agitator, zdezorientowany, zaczął rozpytywać się o przyczynę. Wy tłumaczono mu sens żartu. Uśmiechnął się, nic nie powiedział. Ale nazajutrz żartownisia aresztowano.

Frag. 3

Z nastaniem jesieni portretem Stalina w witrynach sklepowych przestały wreszcie dokuczać muchy. Miasto przybrało wygląd jeszcze bardziej szaro-czerwono-szary. Wszyscy mieszkańcy wpadli na ten sam pomysł, aby się sztucznie przybiednić. Kobiety zamiast kapeluszy włożyły chustki na głowę, mężczyźni zaś czapki. Każdy wdział ubranie możliwie najstarsze i podniszczone. Do jesieni pasowały palta koloru nijakiego, spod których wystawały spodnie niezaprasowane, również koloru nijakiego. Z drugiej jednak strony unikano wyróżniania się szczególną biednością. Przeciwnie, chodziło o to właśnie, aby się jak najmniej wyróżniać, zlać z otoczeniem możliwie najidealnie, przystosować do tł. W ten sposób w państwach kapitalistycznych usiłują zlewać się niewidocznie z tłumem ulicy szpicie policyjni i konfidenci. Po wkroczeniu armii czerwonej sztuka rozplływania się w szarości dnia stała się od razu udziałem wszystkich; nie musiała być zatem trudna, skoro ulica od pierwszych dni przybrała wygląd, jakby szły nią wyłącznie tłumy konfidentów.

Frag. 4

Nagle obwieszczono, że kalosze kobiece przyszły i będą sprzedawane w kooperatywie po cenie bardzo niskiej, jak wszystko, co ma być przeznaczone do użytku ludzi pracy. Kobiety zebrały się tłumnie od rana, ale kaloszy nie było. Żona towarzysza Raczenki, Katarzyna, która zarządzała kooperatywą, młoda, kanciasta w ruchach, w źle leżącym czarnym żakiecie, powiedziała, że jutro.

(...) Raczenkowa miała na nogach walonki z kaloszami - bo w sklepie było zimno - ale kupione na prywatnym rynku, a nie dostarczone przez fabrykę.

- Podwiożą - mówiła uspokajająco. - Wszystko będzie, wszystkiego podwiożą, nie denerwujcie się, obywatelki.
- Na wiosnę!
- W maju!
- Jakoś u was długo wiozą! Już od pół roku słyszymy to samo! (...)
- Co oni mają?! - wykrzykiwała jedna z kobiet. - Nic oni nie mają! Istne korojedy, cały kraj obiorą, oczyszczą, ludziom ostatki pozabierają. Dlaczego przedtem wszystkiego było, a teraz o każde głupstwo stań i stój w kolejce, marznij albo jeszcze w deszczu...
- To pół biedy, że w kolejce, ale żeby choć poczekać. A to stoisz kilka godzin, a dojdiesz do sklepu i okazuje się, że nie ma nic, że darmo człowiek stał.
- Dlaczego wprzód...

- Dlaczego?! - krzyknęła Raczenkowa obracając się nagle do zebranych - to wy nie wiecie dlaczego?!

- A wy sama skąd możecie wiedzieć? - zapytała ją Marta, która stała najbliższej lady. - Tu nie byliście, a dopiero teraz przyjechaliście z Sowietów.

- Właśnie dlatego, obywatelko, ja i wiem, bo przyjechałem z ojczyzny mas pracujących. Dlatego wiem! U was dlatego nie było kolejek przed sklepami, że towar był tylko dla bogaczy, dla burżujów i panów. Biedni nie mieli za co kupować, bo cierpieli nędzę. A dzisiaj każdego stać, dzisiaj masy mogą kupować! Stąd i kolejki, i brak towarów. Zanim skończyła przerwał jej wybuch beładnego śmiechu i wykrzykników. Ale Raczenkowa nie dała za wygraną: za swą pustą ladą, jak za szafcem, sama jedna przeciw masie, broniła pozycji Związku Radzieckiego. (...)

- Ale musicie zaczekać! Zaczekać! - usiłowała prze krzyczeć Raczenkowa.

- Czeakać i boso chodzić, tak?!

- A po czemu teraz masło! A kiełbasa! A obuwie! - krzyczały jedna przez drugą. - Czy nie dziesięć razy drożej?!

- Igły nawet kupić nie można!

- Chyba tylko portret Stalina... - Która z kobiet wy krzyknęła te słowa, nie podobna było w tłumie ustalić, ale niejednej wydały się już one nazbyt śmiałe, bo nagle głosy zaczęły zacichać... (...)

Raczenkowa, która miała za sobą doświadczenia komsomołu oraz kursy agitatorów w Charkowie, wiedziała zarówno z teorii, jak praktyki, iż nie wolno doprowadzić do incydentów z tłumem. (...) Puściła więc mimo uszu wykrzyknik o Stalinie, natomiast skorzystawszy z chwilowe go uciszenia przechyliła się cała ku przodowi, oparła (...) i zaczęła mówić głosem mocnym:

- Co wy mnie tu, obywatelki, ze swoim masłem, butami czy igłą w oczy kłujecie! My idziemy naprzód, my budujemy wielką przyszłość, my świat cały wzurujemy ze starych posad i przenosimy na nowe tory! A wy w kółko o maśle jakimś, o igłach. Co warte było wasze masło, wasze buty, gdy naród w jarzmie?! My wam niesiemy wolność, a kiełbasa i buty przyjdą...

Frag. 5

- Hela! Helaaa! - wrzeszczał jakiś chłopak, wymachując prętem. - Chodź bawić się! - Z sąsiedniego zaułku wybiegły dwie dziewczynki i jeszcze jeden mały chłopczyk. (...)

- Hela! Chodźżesz!

- A w co bawić się? - zapytała.

- W kolejkaaa! - odkrzyknął chłopak, oddalając się z innymi ku drewnianym barierom rynku. Hela poszła za nimi. - W kooperatywa?! - zawołała z tyłu.

- Aha!

Dzieci ustawiały się w rząd przed barierą, imitując kolejkę-ogonek przed sklepem. Stały nieruchomo, a co pewien czas któreś przelażo na drugą stronę. Urozmaicenie miała stanowić kłótnia wywołana przed wymagowanymi drzwiami wymagowanej kooperatywy, którą likwidował najstarszy chłopiec, grający rolę milicjanta: wrzeszczał ordynarnie i wymachiwał trzymanym prętem. Wiatr, który igrał żdźbłami słomy na bruku, igrał też włosami dzieci, gdy one znów ustawiały się posłusznie przed brzydkiem, nadpróchniałym słupem bariery.

Paweł (...) zapatrzył się w zabawę dzieci. Nagle, czy to beznadziejność jej treści, smutek czy nuda, czy tęsknota jakaś za czymś wolnym, dalekim a nieuchwytnym sparła go w piersiach z taką siłą i tak odczuwalnym skurczem, jak chyba nigdy dotąd. Po raz pierwszy miał uczucie, że narasta w nim przemożna, śmiertelna nienawiść do otaczającej go rzeczywistości, szczerą nienawiść, której w tym nasileniu nie zdołały w nim dotychczas rozpałić ani strach i bieda własnego życia (...).

Frag. 6

Starszy lejtenant NKGB Michał Zajcew, napisał do swego brata list, w czarnych kolorach malując sytuację, jaką zastał. Przybył on z pierwszymi oddziałami i zatrzymał się w trzeciorzędym hotelu, nazwanym daczegoś przez właściciela "Italia". Hotel położony był w dawnej dzielnicy handlowej. Właściciel przezornie schował całą pościel, pokoje nie były sprzątane od kilku dni, służba, poza jedynym portierem, rozbiegła się. Nadmiar złego nastąpiło krótkie śpięcie, a mechanika w ogólnym rozprężeniu nie dało się odszukać. Stary portier przyniósł do numeru świecę wetkniętą w butelkę po piwie i żeby udobruchać gościa, zapytał, czy nie sprowadzić mu "dziewczynek"? (...)

"Drogi Kola, slyszalem i czytalem dotychczas duzo, ale nigdy nie przypuszczalem, iz swiat kapitalistyczny do tego stopnia tonie w nędzy i brudzie. I to podwójnym: fizycznym i moralnym... Nigdzie tu poza tym nie ma ani stołówek, ani kooperatyw... Wyobraź sobie, że już pierwszego wieczoru zaproponowano mi kobiety, które tu z nędzy i głodu zmuszone były sprzedawać swoje ciało... Ulice niesprzątane... Tłumy ludzi wiwatują oczywiście, ciesząc się z wyzwolenia..."

Schodząc po schodach z zapieczętowanym listem, poklepał po ramieniu starego portiera w halu:

- Nu, co? Cieszyicie się?

- Naturalnie. Jakżeby inaczej? - Odparł tamten bez uśmiechu. - Cieszymy się. Bardzo nawet.

Zajcew spojrział mu w oczy i nagle zwątpił w jego słowa. "Stary chrzan!", pomyślał. "Takich się nic przerobi".

Frag.7

(...) mówca, kończąc przemówienie, krzyknął: "Niech żyje republika radziecka! Niech żyje ojciec wszystkich mas pracujących całego świata, kochany nasz nauczyciel i wódz, wielki, genialny towarzysz Stalin!!!" - Głos mu się załamał z och rypnięcia, wznosił wysoko rękę, ruchem tym podciągając w górę starą marynarkę (...).

- Niech żyje! - odkrzyknął pierwszy kulawy robotnik, wymachując również ręką. - Niech żyje! - krzyknięto z wielu stron naraz i ludzie powstali z miejsc. (...)

- Towarzysze!... - wołał mówca - (...) Wysyłamy dziękczynną depeszę od robotników, chłopów i inteligencji pracującej do naszego kochanego! ...ukochanego! ...Sta...!

- Hurra! - Nie dano mu dokończyć. (...)

Mówca urwał, wierzchem dłoni wytarł ślinę w kącikach ust, kiwnął szybko głową na znak, że wiec skończony, i znikł. W drzwiach budynku szkolnego. Ludzie milczkiem i tłocząc się w bramie opuszczali podwórze.

Wracali bezładną kupą (...). Na zakręcie dopędziła ich i minęła szara limuzynka, na trzecim biegu torując sobie drogę poprzez piach. Z okna jej wychyliła się (...) dziewczyna i powiewała czerwonym szalem. (...)

Kulas odmachnął jej przyjaźnie ręką i odwracając twarz do idących obok, wycedził powoli:

- Poszła ona w ...mać, kurwa czerwona.

Zwolnili kroku, bo samochód obdał wszystkim kurzem. Dzień był gorący.

- Taksówką, taka ich mać, rozjeżdżają... - odsapnął kulas, któremu iść było ciężko.

- A czego wrzeszczeliście "hurra", w takim razie? - niespodziewanie wtrącił Paweł.

- No... A jakże inaczej?... - odpowiedział kulas i odwrócił do Pawła swą szeroką twarz, na której malował wyraz szczerzego zdziwienia.

Frag. 8

Do tradycji miasta, sięgającej chyba odległych wieków, przywiązany był urząd rakarza magistrackiego, którego zarówno obowiązkiem, jak przywilejem było wylapywanie z ulic - wałęsających się i bezdomnych psów. Wyjeżdżał on na miasto jednokonnym wózkiem w kształcie małej platformy, do której przymocowana była z góry klatka o żelaznych prętach. Bokami szło dwóch czeladników-oprawców, zaopatrzonych w długie kije z pętlą na końcu, na którą łapali przygodnego psa, a następnie drżącego ze strachu, wrzucali do wózka, i pochód posuwał się dalej. Cała ta procedura sprawiała wrażenie niemiłe, nieestetyczne, można by zaryzykować twierdzenie, że wręcz przykre. Żalodne skomlenie złapanego psa przechodziło nieraz w zawodzenie podobne do płaczu skrzywdzonego dziecka. Dochodziło też do scen brutalnych. Od niepamiętnych tedy czasów wydany był surowy nakaz dla rakarza, ażeby możliwie niezadługo po świcie zakańczał swój proceder i zjeżdżał z ulic, a już w każdym wypadku przed ranną godziną, o której młodzież szkolna wysypuje się z domów do szkół, aby zaoszczędzić jej gorszącego widoku łapanych psów. W gruncie rzeczy psom tym nic działa się wielka krzywda. Rakarz zdawał sobie sprawę, że wykup, jaki pobierał od właścicieli złapanych psów, wynosił więcej niżby mógł uzyskać za skórę lub tłuszcz. (...) Wiedzieli o tym dobrze mieszkańcy miasta, ale widocznie leżało już coś w naturze ludzkiej, co buntowało się przeciwko brutalnej przemocy nad bezbronnymi zwierzętami, bo protesty przechodniów i wynikające z nich awantury stały się równie zadawnioną tradycją miasta, jak sam urząd rakarski. Paweł pamiętał od dziecka te incydenty, gdy krocząc, bywało, do szkoły spotykał klatkę hyclowską, zapóźnioną na ulicy wbrew przepisom policyjnym.

W sobotę, 14 czerwca 1941 roku, gdy szedł ulicami tego samego miasta, był jasny, słoneczny dzień i akcja deportacji rozpoczęta przez organy NKGB o świcie była jeszcze w pełnym toku. Płaskie ciężarówki sowieckiej produkcji stały pojedynczo i szeregami przed kompleksami kamienic lub jechały w różne strony. Brano nie włóczęgów bezdomnych, a przeciwnie: ludzi przeważnie dawno zdomowionych; brano do więzień, katorgi, obozów, na zsyłkę lub śmierć, i żaden wykup, za żadne pieniądze, nie mógł wchodzić w rachubę; brano nie kilku czy kilkunastu, ale od razu tysiące; brano otwarcie, na oczach całego miasta. Brano nie psów! Przeciwnie, brano ludzi... I oto nikt nie protestował, nie krzyczał, nie awanturował się, nie bronił, nie wyzwalał, nie wygrażał pięściami. Nawet nikt nie skomlił. Miasto z wyższego nakazu miało nie przerywać codziennej pracy i ludzie, którzy pozostawali, lubo nie wiedzieli, czy jutro jeszcze pozostaną, szli prędko chodnikiem, nie zatrzymując się, odwracając oczy. Panowała cisza i spokój.